

Dziennik Bałtycki
REJSY
80-958 Gdańsk, ul. Izag. Giszeway 3-11

wydanie
1 6 5 — 2 2 — 2 3 -07-78

Nr 7 dn.

665

DZIENNIK BAŁTYCKI

Sezon teatralny 77/78 2)

PODPRAWNA PRZECIĘTNOŚĆ

NA temat hegemonii reżysera w teatrze — podobnie, jak na temat stanu aktorstwa w naszym kraju — toczą się nieustające spory. Jedni twierdzą, iż jego rola stale wzrasta, inni, że przeciwnie — maleje. Pozostawiając te spory na boku, stwierdzić jednak należy, iż jego odpowiedzialność — a zatem i znaczenie — za spektakl jest w porównaniu z innymi twórcami dzieła teatralnego największa. Jest on bowiem głównym animatorem przedstawienia, odpowiedzialnym za jego przeżyłość myślową, za kształt artystyczny, za harmonię wszystkich elementów składowych się na sztukę teatru. Nie darmo przecież wybitne realizacje określa się później nazwiskami ich reżyserów.

Chciałabym w tym momencie zatrzymać się przez chwilę przy dwóch inscenizacjach zrealizowanych w Teatrze „Wybrzeże” przez Ryszarda Majora, są one bowiem dość charakterystyczne dla tego, co dzieje się w tej chwili na naszych scenach. Jego inscenizację „Balu w operze” Juliana Tuwima postawiłabym najwyżej, jeśli chodzi o dokonania reżyserskie minionego sezonu. Major tym przedstawił, że potrafi znakomicie przełożyć język poezji na język teatru, że posiada wielką wyobraźnię teatralną, którą potrafi jednakże powściągnąć w imię celu nadrzędnego — uzyskania zwartej i spójnej całości. W tym przedstawieniu (nie wolnym zresztą od pomniejszych usterek) nie ma gwiazd, nie ma scen „wielkich” i „puszczonych”. Jest praca zespołowa całego ansamblu aktorskiego, jest współgranie i zrozumienie pomiędzy reżyserem i scenografem.

Z kolei ten sam reżyser przygotowując „Wieczór Trzech Króli” poszedł „na całego”, pozwolił ponieść się własnym pomysłom, które nie bardzo dały się później kontrolować rozumem i myślą. W rezultacie powstało efekciarskie przedstawienie, w którym Szekspir nie wie, gdzie co robił. Major zdawał się kokietować: patrzcie, jaki jestem genialny, chcecie, mogę jeszcze sygnąć kilkoma dziesiątkami co oryginalniejszych pomysłów! Sens? — kto by sobie tym głowę zaprzętał...

Stanisław Hebanowski na leży do twórców, na których realizacje czeka się zawsze z wielkim zainteresowaniem, należy bowiem do tego nielicznego grona reżyserów, o których wiadomo, że mają własne widze nie teatru, własny styl. Miniony sezon nie przyniósł niestety realizacji na miarę niedawnego „Samuela Zborowskiego”. Tym razem pasja „ożywiania starych zegarów” zawiodła Hebanowskiego w ślepią uliczkę. Jak słusznie zauważył w swej recenzji Andrzej Żurawski, Hebanowski z uporem godnym lepszej literatury już po raz trzeci próbuje wskrzesić Micińskiego. „Bazyliśa Teofanu” okazała się przedstawieniem, które za nibyprawdami ostatecznymi skrywa banal i — co tu dużo mówić — mętne, pseudofilozoficzne dywagacje. Ogłupiały widz siedzi, nic nie rozumie i wstydy się do tego przyznać. Co najwyżej może popodziwiać sobie monumentalną scenografię Mariana Kołodzieja.

Dalsze rozważania na temat dokonań reżyserów prowadzić by należało w tonie umiarkowanej aprobaty. Nie było tu bowiem ani oczywistych porażek ani, też dokonań wybitnych — takich, które stałyby się za czynnym żywszej myśli społecznej czy teatralnej, które wywołałyby kontrowersje i polemiki. Poprawna przeciętność. Niestety.

SCENOGRAFIE minionego sezonu na ogół spełniały warunki integralnego powiązania z całością spektaklu oraz wspieranie interpretacji tekstu. Na uwagę zasługują dokonania Ryszarda Strzembaly — „nadwornego” scenografa Teatru Dramatycznego w Elblągu. Strzembala, obojętnie czy pracuje na dużej scenie i tworzy rozbudowaną scenografię („Trzy siostry” czy „Łyżki i książeczki”), czy też operuje pojedynczym rekwizytem czy meblem („Warszawska melo-

dia”) — zawsze odnosi się to samo wrażenie: prostota i funkcjonalność, czystość plastycznego przekazu. Przy czym potrafi on również komponować sceny o iście malarskich efektach — chociażby scena początkowa „Panny Maliczewskiej” — zawsze jednak służy to określonej celowi w całości przedstawienia.

Marian Kołodziej doszedł chyba w swych poszukiwaniach do apogeum (kto go tam jednak wie?). Dekoracje i kostiumy do „Bazyliśy” urzekają i uwodzą swoim pięknem. Już widzę je, jak umieszczone w muzeum scenografii (które

dla mnie — rola Haliny Wiśniarskiej jako Lechy w „Zamianie”; postać Choeriny, którą w „Bazyliśie Teofanu” stworzył Józef Onyszkiewicz; Stanisław Michalski jako Carlos Blanco w „Wywiadzie w Buenos Aires” (rola ta, jakże odbiegająca od dotychczasowego dorobku tego aktora, świadczy o jego wszechstronnych możliwościach); czy wreszcie drugoplanowa, ale jakże świetnie zagrana przez Zenona Burzyńskiego rola Aslockena we „Wrogu Ludu”.

Warto także wspomnieć o aktorach młodych, którzy stawiają dopiero pierwsze

„Trzy siostry” w Teatrze Dramatycznym w Elblągu.

KAŻDA z wyżej omawianych scen jest jedyną sceną dramatyczną w swoim mieście. Nakłada to specyficzne obowiązki na teatr, który spełnić musi wymagania i oceniać kiwania różnych grup odbiorców — stąd najczęściej bierze się eklektyzm proponowanego repertuaru. Ale eklektyzm świadomy nie powinien oznaczać nijakości. Tymczasem w minionym sezonie teatralnym tak się stało (co prawda teatry, a głównie Teatr „Wybrzeże” grają również pozycje z minionych sezonów, co zmienia nieco kształt prezentowanego repertuaru, ale tutaj za czeru przyjął granice sezonu 77—78).

Stwierdzić należy niestety z żalem, iż nasz gdański i elbląski teatr nie są tymi przybytkami sztuki, gdzie padają obecnie pytania ważne, gdzie porusza się sprawy najistotniejsze, zarówno dla jednostki, jak i dla zbiorowości. Do teatru chodzi się obecnie na „wieczory kulturalne”, nie zaś po to, aby przeżyć coś ważnego, coś co wpłynie może na nasze myślenie, na nas samych i na nasze życie. Nasz teatr coraz bardziej oddala się od życia. Czas temu zapobiec.

Aleksandra Paprocka

ma powstać właśnie w Gdańsku) zachwycają oczy zwiędzających. Właśnie — nadają się one bowiem do samodzielnej kontemplacji, do podziwiania tych wszystkich ikon, ołtarzy, rozlicznych elementów jeżdżących sobie w górę i w dół. To jakiś gigantyczny świat, wypełniony obrazami, rzeźbami, formami przestrzennymi. To świat sam dla siebie, jednak nie dla teatru. Należałoby zacząć bowiem w tym miejscu wszystko od nowa, stawiając pytanie o miejsce scenografii w całości dzieła teatralnego.

ZAZWYCZAJ tak bywa, że wybitnym osiągnięciom inscenizacyjnym towarzyszą nie mniej znakomite osiągnięcia w dziedzinie scenografii czy też sztuki aktorskiej. Brak jednych powoduje zwykle niedostatek drugich. Trudno się temu dziwić, wszak są to naczynia połączone, sprzężenia zwrotne. Tak też stało się w minionym okresie — w powodzi przedstawień przeciętnych trudno znaleźć wybitne kreacje aktorskie. Nie znaczy to oczywiście, iż brak nam dobrych i wręcz znakomitych aktorów. Są, i to na każdej z naszych scen, tylko że jakoś nie mieli ostatnio okazji do za prezentowania swych możliwości w całej krasie.

Przy braku takich wybitnych kreacji aktorskich roku, warto jednak zatrzymać się na chwilę przy kilku rolach, które dłużej niż inne pozostały w pamięci. Były to — przynajmniej

krok, na scenicznych deskach, a którzy dali się już poznać z jak najlepszej strony. Osobiście najbardziej liczę na Tadeusza Pióciennika oraz Zbigniewa Jankowskiego z elbląskiego Teatru Dramatycznego.

Chciałabym jeszcze odnotować spektakle, które szczególnie wyróżniły się zespołową pracą aktorską, gdzie czuło się szczególną odpowiedzialność całego zespołu za końcowy efekt sceniczny. Za takie przedstawienia uznałabym przede wszystkim „Bal w operze” w Teatrze „Wybrzeże” oraz